№ 33. Warszawa, dnia 7 (19) Sierpnia 1874 r. Rok X.—Tom X.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

POGAWĘDKA.

Niezadługo zaczną nadciągać do Warszawy stada żórawi zblizka i zdaleka — stada pstrego, wrzaskliwego ptactwa: goście z letnich mieszkań i z zagranicy. Miasto tak się ciągle powiększa, tak wzrasta w ludność—oby tylko w mądrość i cnoty wzrastało! a przytem potroszę także i w domy—że nie dostrzega się w niem znacznego wyludnienia, jakie pora letnia sprowadza. — Wiele wyjechało, ale więcej jeszcze zostało; ubytek nie zmienił sposobu życia, nie zmienił fizyognomii, a jak się mówić powinno, poglądu, wejrzenia miasta. Pełno osób w teatrach, po ogródkach, na hecach cyrkowych i niecyrkowych, na sztukach dramatycznych nie mających nic wspólnego ze sztuką dramatyczną, na spacerach zamiejskich, do których dostawać się trzeba przez spiekotę, kurz i brud.... Bawi się Warszawa między obcymi, bawi się też i u siebie—inaczej tam, inaczej tutaj i bezporównania lepiej za granicą niż na własnych śmieciach.... Ale najpierw, nie wszyscy są w stanie wyjechać, a potem warte jest także coś i w poczcie przyjemności występować może, zadowolenie, że się grosza nie wydało, nie zmarnowało. Zbytek jest główną chorobą naszą, we wszystkich stosunkach, pod każdym względem, zbytek z lekkomyślności, z jakiegoś nieokreślonego lubowania się światem płynący; każdy więc objaw oszczędności mile witanym być winien. Kto przez oszczędność łyka kurz i nasyca się nie różanemi wcale woniami—ten odbywa dobrą podróż, choćby się z miejsca wcale nie ruszył: żegluje bowiem do spokojnego jutra. — A niestety, nie wszyscy z tych, co wyjechali za granicę dla przyjemności, lub choćby tylko do wód krajowych nie potrzebując kuracyi, po dniu powrotu do Warszawy spokojne jutro mieć będą.

Niewesołe, co prawda, jest lato w mieście, w mieście zwłaszcza tak jak Warszawa nie posiadającem kanalizacyi, wodociągów, porządku na ulicach, dobrych bruków i środków komunikacyjnych. Ogródki usiłują nas wprawdzie rozweselić, rozśmieszyć, dopomaga im Teatr Letni, Cyrk, Tivoli—ale wszystkie te instytucye wesołości nie zdołają odpędzić myśli że się wędzimy w skwarze, w jak najgorszych warunkach hygieny i tej skromnej estetyki życia powszedniego, której poczucie zjawia się w człowieku razem z cywilizacyą. Dopóki wody i ścieków nieposiądziemy, dopóty dawać będziemy z siebie obcym obraz barbarzyństwa. Anglik, Niemiec i Francuz na widok naszego miasta po kilku już dniach pobytu wzruszać będzie ramionami pogardliwie, tak jak to teraz czyni. Gdyby zamiast tworzenia tylu firm nowych, tylu nowych interesów, ubiegania się o tyle wielkich przedsiębierstw, gonienia za tanią filantropią i rozbijania się o drogo opłacane mrzonki spekulacyjne, zamożniejsi mieszkańcy, a na ich czele właściciele domów, zawiązali się w wielkie akcyjne towarzystwo budowy kanałów—większy byłby z tego i dla nich i dla świata pożytek.... Wprawdzie w sprawie kanalizacyi roztrząsanej już od lat sześciu, ale ciągle bez skutku, odzywały się głosy za tak wielką oszczędnością, że gdyby ich słuchać, toby się Warszawa nigdy nie doczekała ani kanałów, ani wodociągów—lecz w tej rzeczy jak i w każdej innej na tym bożym świecie muszą być zawsze i będą ludzie drepczący wtedy, kiedy iść potrzeba. Napomnienia ich i uwagi mimo uszu puszczać należy.

Warszawa niema szczęścia do celów prawdziwie użytecznych, większego, ogólnego znaczenia. Myśl stowarzyszenia emerytalnego dla literatów Warszawskich — nie wiemy dla jakich powodów po trzyletniem agitowaniu porzuconą została. Towarzystwo budowlane, pomimo uzyskanego przedłużenia terminu, nie zdołało się ukonstytuować —dla braku kapitałów, które w tym samym czasie cudów dokazywały na rozmaitych giełdach i rynkach. Kanalizacya od lat tylu nie wychodzi z martwego stanu nieokreślonych jeszcze zupełnie zamiarów.... W roku zeszłym blizkie już było zaprowadzenie kilku kolei konnych wzdłuż miasta; projekt znowu się na niczem rozchwiał — i przykro powiedzieć, że potężne już kapitały własne nic o projekcie nie wiedziały, że przyjechał z nim jakiś cudzoziemiec.... Jeżeli kto ma prawo utyskiwać na nieporządki w naszem mieście, to, zaprawdę, nie kapitaliści, nie ludzie o wesołem jutrze, rozporządzający środkami, których dla indywidualnego bytu swego nie potrzebują. Gdyby w tych sferach było więcej prawdziwej przedsiębierczości, lepsze rozumienie zysków, lepsze chociażby tylko pojmowanie życia *dla siebie*, to po tylu latach rozpraw, w tej chwili przyglądalibyśmy się już budowie tak pożądanej sieci kanałów, cieszylibyśmy się nadzieją oddychania świeżem powietrzem, którego dziś daremnie już i w Ogrodzie Saskim szukamy. Ogród ten przypomina okolicę zniszczoną przez jaki najazd. W roku bieżącym niezmiernie mu się dało we znaki skwarne lato przy zupełnym braku wody. Powietrze ogrodu saskiego ma inną zupełnie własność niż powietrze na całym świecie: jest ciałem stałem, nieprzezroczystem, nierozprężliwem, widzieć i dotykać się dającem. I w takiem powietrzu Warszawianie szukają rozkoszy! Trawniki świecą nagością szarego i popielatego gruntu, nie znać na nich gdzie była trawa; czego nie spaliło słońce, to wydeptali ludzie. Nic dziwnego, że w takich warunkach przyszła kilku obywatelom myśl objęcia ogrodu w zarząd połączony z dokładaniem własnych pieniędzy do niezmiernie szczupłego etatu, jaki miasto wyznacza. Niewiadomo co się stanie z projektem; na urzeczywistnieniu jego ogród zyskać tylko może, jeśli zarząd będzie prawdziwie obywatelskim.

* * *

Na wrzesień razem z wędrownemi żórawiami nadciągną do Warszawy i liczni przemysłowcy z Europy, szczególniej z Niemiec i Anglii, zjadą się gospodarze miejscy, mechanicy, fabrykanci... Będzie

wiele wrzawy, ciekawości, zabiegów i wydatków, może nawet trochę pożytku i materyalnych korzyści. Na placu Ujazdowskim stanęły już drewniane, skromne, bardzo małym kosztem stawiane, galerye. Zajmują one znaczną przestrzeń i przygotowane są widocznie dla licznych gości. Temi gośćmi będą machiny i produkta rolnicze, oraz wyroby przemysłu związanego z rolnictwem.—Warszawa stanie się na kilkanaście dni punktem międzynarodowym, na rok bowiem obecny przypadła w niej wystawa rolnicza, w której prócz przedmiotów krajowych i zagraniczne udział przyjąć będą mogły. Dla nas ta uroczystość ekonomiczna będzie miała znaczenie popisu przed zagranicą; dla zagranicy zaś — dobrego targowiska. Cudzoziemcy niewiele znajdą rzeczy do podziwu: zbyt daleko za nimi w tyle pozostajemy—wypadałoby się jednak pokazać jak najlepiej:... Kobieta wiejska z większych gospodarstw z żadnem dziełem pracy swej nie wystąpi dla tej prostej przyczyny, że nic nie robi, że tytuł gospodyni niezasłużenie nosi, że produkcya z rolnictwem związana niczego jej nie zawdzięcza—że pani żyje na wsi tak jakby żyła w mieście... Nie przestanę nigdy kobiecie naszej wyrzucać zaniedbania, w jakiem pozostawiła właściwe sobie gospodarstwo na wsi.

* * *

Teatrzyki ogródkowe bawią zatem Warszawę — gdyby jej tylko nie psuły! Repertoary w latach zeszłych staranniejsze, w bieżącym dobierane są bez grymasów. Zdarzy się czasem sztuka lepsza, napisana z sensem, z jaką taką zacnością moralną—ale takich sztuk niewiele. „Alhambra“ odtąd spostrzegła, że i Ofenbachiady nie dają jej pod względem zysków materyalnych skutecznie współzawodniczyć z „Eldorado“ poprawiła swój repertoar. Wszelako i tu i tam bardzo wiele jeszcze śmieci francuzkich i niefrancuzkich. Trudno wyobrazić sobie jakich niedorzeczności z zajęciem słuchają ludzie wcale dorzeczni, wykształceni, do wyższego należący świata, jak lichemi, płaskiemi konceptami zadawalniają swe umysły, jak w ogóle mało są wymagającymi w miejscach, które i od nich niewiele wymagają. Dzieci, prowadzone na widowiska, kształcą się pod sterem rodziców w kierunku jak najbardziej na przyszłość obiecującym. Pisano już o tych dzieciach, aby im bywania w teatrzykach ogródkowych zabronić. Rada nie znalazła posłuchania. Nawet w Tivoli gdzie „prawdziwe talenta śpiewaczek używających europejskiego rozgłosu“, pomagać sobie muszą kostiumami trykotowemi—nawet i tam młodsze pokolenie w prawach ze starszem zrównane zostało i bawi się z niem pospołu. Prawda, że z rozkoszami ogródków wiedeńskich przeniesionemi do Tivoli łączą się popisy atletyczne Holtuma, człowieka, który chwyta w biegu kule armatnie, a w tych popisach niema przecież nic obrażającego moralność. Prawda, zapomniałem o tem, toć to przecież i ofenbachiady kończą się zwykle moralnie, według morału bajki.... Jak można było o tem zapomnieć!

P. Texel robi wciąż tak dobre interesa w „Eldorado“, że pomyślał już o osiedleniu się na stałe w Warszawie. O ile wiemy, starań tych dobry skutek nie uwieńczył. Wielka to szkoda—bo z czasem scenka z Eldorado musiałaby się uszlachetnić, udoskonalić, zaspokoiłaby silnie odczuwaną w Warszawie potrzebę trzeciego a nawet czwartego jeszcze teatru.

Na przedmieściu przedmieścia warszawskiego, na Nowej Pradze — odbywają się przedstawienia teatralne bardzo oryginalnego, w XIX mało już gdzie praktykowanego pokroju. Niegdyś właściciel osobnej truppy wędrownej Russanowski, osiadł w tej miejscowości mało znanej Warszawianom, choć tak blizkiej ich grodu—i publikę miejscową co tydzień w święto zabawia widowiskami scenicznemi, do których siły artystyczne rekrutują się w ciągu tygodnia: widowisko łączy w sobie odrazu próbę i przedstawienie. W razie niestawienia się którego artysty, wyręcza go jaki ochotnik z tłumu. Jestto życie teatru ludowego, w jego zaczątkach: widziała je u siebie Anglia i Hiszpania w XVI wieku. — Na biednej publiczności dyrektor teatru nie utyje: scena na Nowej Pradze stoi tak swietnie, że koleżanka jej w Eldorado musiała dać dla niej przedstawienie dobroczynne....

Nie możemy ogródkom przyznawać wyłącznego prawa obznajmiania nas z płodami dowcipu zagranicznego, hodowanego w atmosferze kawiarni, bo i reżyserya stałego teatru wystawiła w tych dniach nędzną farsę francuzką (Tricoche i Cacolet), której nawet w ogródkach słuchać nie chciano.—Dziennikarstwo nasze, uczciwsze od wiedeńskiego i paryzkiego, niewątpliwie wychłoszcze tę nową produkcyę reżyseryi—dopieroż pojawią się krzyki, na zaślepienie, niesprawiedliwość dziennikarzy... Największem szczęściem na ziemi jest: być zadowolonym z samego siebie....

* * *

Poczciwe prowincyały, cieszcie się! w miejsce dróg powybijanych, będziecie teraz mieli drogi bite. Pisma codzienne wymieniają ze trzydzieści kierunków na znacznych odległościach, w których poprowadzone być ma *chaussée*; najwięcej na prawym brzegu Wisły, w guberniach: Lubelskiej, Siedleckiej i Łomżyńskiej. Te właśnie strony najdotkliwiej czuły brak komunikacyi. — Mówiąc o nowych drogach, mimowoli przypominam sobie stare i widzę, że jeśli trudno jest drogę zbudować, to jeszcze trudniej raz zbudowaną w dobrym zawsze porządku utrzymać. Drogi pod samą Warszawą przedstawiają smutny obraz zniszczeń dokonanych przez czas i używanie. Zapowiadana naprawa, na którą wyassygnowano już nawet fundusze, w rzeczywistości dotychczas bardzo małe ma rozmiary. Fundamenta wyszczerzają ciągle po dawnemu zęby na przejezdnych naprzykład na drodze bitej do Mokotowa; szaber raz nasypany zniknął w głębinach długo opuszczonej linii i potrzebaby paru nasypów, aby drogę do należytego stanu przyprowadzić. Zresztą co tu jeszcze mówić? wiedzą o wszystkiem doskonale boki nasze.

* * *

Przerażającą jest liczba samobójstw w Paryżu i Wiedniu. Ludzie nic życia swego nie cenią: zabijają się—głównie z długów i z miłości, która jest także swojego rodzaju długiem; a najgłówniej z braku religii i jakiej takiej miary w życiu. To, co się miłością nazywa, jest prawie zawsze dostrzeżoną w rozpaczy nicością duszy i pustką kieszeni. Ludzie żyją i umierają jak zwierzęta — dziennikarze stawiają jeszcze nad nimi pomniki z całych teoryi wykazujących konieczność samobójstwa — w pewnych okolicznościach, które sofistyka zawsze powabnie, łudząco ułożyć potrafi.... Smierć dla kobiety przedstawiana tam bywa jako bohaterstwo duszy: winnymi śmierci są nie samobójcy, ale rodzice panny lub kawalera, winien jest konwenans światowy, winne są prawa nazywane moralnemi, a w których kryją się tylko resztki przesądów średniowiecznych... Bezczelność dziennikarzy francuzkich z rodziny *Małej Prassy* nie zna granic. U nas jak społeczeństwo całe tak i dziennikarstwo jest o wiele lepszem: ani tylu i takich samobójstw, ani takich aktów zejścia nie znajdujemy. Miłość u nas rzadko uzbraja samobójczą rękę; niema takiej nad nami siły, abyśmy jej życie swe poświęcali. Młoda panna co najwięcej morzy się głodem z miłości: chudnie, blednie, ale nie umiera. Inne nas uczucie za to często do śmierci popycha. Biedna Halka nieraz ma krew przed oczyma—i straszną mgłę śmierci... i w rozpaczy rzuca się w grób. Wypadek podobny miał miejsce w Warszawie, w czerwcu w kościele Panny Maryi na Nowem Mieście.

Zresztą samobójstwa następują u nas jeśli nie z zupełnego rozstroju umysłowego, to z nędzy. Taki nędzarz wszedł przed kilku tygodniami do sklepu rzeźniczego, wziął nóż i bez przygotowań, bez namysłu poderznął sobie gardło. Nie męczył się długo—śmierć była dlań łaskawą: kilkoro drobnych dzieci zostało zupełnemi sierotami. Gdyby je lepiej kochał, nie byłby ich opuszczał. W każdem złem dostrzedz można brak miłości. Jakże mało jest prawdziwej tej siły na świecie!

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Zajazd.—Wyrok i egzekucya. — Przybycie państwa młodych. — Uczta.—Bandy wędrownych cyganów.— Grzybobranie. — Zbieranie orzechów w lasach. — Edukacya panien w klasztorze. — Główne jej cechy. — Różnica z domowem wychowaniem. — Panna Gertruda. — Podstolina. — Dom otwarty. — Przyjęcia i zabawy.

Wspomnieć należy w ostatku o wędrownych bandach Cyganów, które odwiedzały zarówno wszystkie miasta, jak wsie i dwory. Czy z niedźwiedziami czy bez nich, cygańskie rodziny w większej lub mniejszej gromadzie, jeżeli z jednej strony obudzały wstręt i postrach powszechny, że dzieci kradną, to z drugiej podniecały niezwykłą ciekawość i zajęcie, albowiem stare cyganki słynęły jako pewne wróżki przyszłości, przepowiadając takową z każdego dłoni. Ztąd, lubo z bojaźnią, przecież chętnie, białe i gładkie swe dłonie piękne i młode dziewice ziemiańskie, jak spracowane i opalone wiejskie dziewoje, podawały cygance, nasłuchując z biciem serca, upragnionej wróżby, jaka dola ma którą spotkać w ciemnej i nieprzejrzanej przyszłości. Często się zdarzało, że przepowiednia ziściła się w części albo całości, co utwierdzało ogół niewieściego świata w wierze do tych wróżb i jednało starym cygankom mir powszechny.

Każde przejście bandy cyganów otwierało szerokie pole do rozmów i dumań przez czas długi: dopóki nowa gromada tych włóczęgów, nie zatarła dawniejszych wspomnień.

Owoż mamy cały szereg postaci, które przewijały się około dworów ziemiańskich, a każda obudzała żywe w nich zajęcie wszystkich niewiast, czy to cór i krewniaczek państwa domu, czy dworskiej służby kobiecej, czy wreszcie młodych gospodyń i dziewoi sielskich.

Nie godzi się nam przepominać rozrywek, które dawały wiosna, lato i jesień mieszkankom dworów i wiosek, a które na początku naszego stulecia jeszcze się w całej pełni przechowywały.

Po świętach *wielkanocnych*, nadchodziła *wigilia Ś. Jana*, w której o samej północy kwitnie cudowny kwiat *paproci*, z równie cudownemi przymiotami, albowiem nietylko szczęśliwy kwiatu tego zdobywca, pochowane skarby w ziemi odkryje i zdobędzie, ale cała przyszłość daleka staje widomie przed jego oczyma. W dniu tym, podwójna zabawa ludowa: palenie ogni *sobotkowych* i puszczanie wianków przez panny na bieżącą wodę, dla zyskania pomyślnej wróżby, która z nich prędzej czepiec mężatki przywdzieje i usłyszy radośną piosenkę o *Chmielu*, śpiewaną z jednakowem zamiłowaniem, tak w chacie chłopka, jak we dworze szlachcica przy obrzędzie weselnym w czasie *Oczepin*.

Przed ukończeniem żniw, a tem samem i zabawy *Dożynków* połączonych w każdym dworze z wesołemi tańcami, w których brały udział wszystkie kobiety bez różnicy stanu i wieku, chwilą najprzyjemniejszej rozrywki była wycieczka gromadna do gęstych lasów dla zbierania grzybów, tak na świeżą potrawę, jak do suszenia i marynowania na zapas zimowy.—Komuż przy tem wspomnieniu, nie nasunie się obraz tak malowniczy *Grzybobrania*, który dał nam Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*.

„Grzybów było w bród. Chłopcy, biorą krasnolice,
Tyle w pieśniach litewskich sławione *lisice*,
Co są godłem panieństwa: bo czerw ich nie zjada,
I dziwna, żaden owad na nich nie usiada.
Panienki za wysmukłym gonią *borowikiem*,
Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.
Wszyscy dybią na *rydza*; ten wzrostem skrom-
[niejszy
I mniej sławny w piosenkach, za to najsmacz-
[niejszy,

Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory,
Czy zimą. Ale wojski zbierał *muchomory*.
Inne pospólstwa grzybów, pogardzone w braku
Dla szkodliwości, albo niedobrego smaku,
Lecz nie są bez użytku, one zwierza pasą,
I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
Na zielonym obrusie łąk, jako szregi
Naczyń stołowych sterczą: tu z krągłemi brzegi
Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
Niby czareczki różnem winem napełnione:
Koźlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe,
Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe,
Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
I kulista, czarniawym płynem napełniona
Turchawka, jak pieprzniczka; zaś innych imiona,
Znane tylko w zajęczym lub wilczym języku,
Od ludzi nieochrzczone—a jest ich bez liku.
Ni wilczych, ni zajęczych nikt dotknąć nie raczy;
A kto schyla się ku nim, gdy błąd swój obaczy,
Zagniewany, grzyb złamie, albo nogą kopnie;
Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie".

Ale oprócz *grzybobrania* i druga wycieczka do lasów niemniejszą przedstawiała zabawę i zajęcie. Była nią wycieczka na *orzechy* laskowe, z krzaków leszczyny, które gęsto przerastały wszystkie bory nasze i puszcze z zapadłemi kniejami.

Właściwy czas na orzechy rozpoczynał się w pierwszej połowie sierpnia, od *Ś. Wawrzyńca Męczennika*, kiedy wedle ludowego przysłowia:

„Od świętego Wawrzeńca,
Idą orzechy do wieńca".

Jest to pora do obrywania ich, albowiem ziarna wtedy zupełnie już dojrzewają.

Pod cieniem i osłoną leśną zebrane towarzystwo rozsypywało się w mniejsze grona, a te w pojedyńcze pary. Za dobrą wróżbę uważano i pomyślną w przyszłości dolę, jeżeli panna albo kawaler znajdowali *dwojaczki* czyli dwa orzechy łupiną do siebie zrosłe. O taką zdobycz upędzano się chciwie, bo wróżyła ona spełnienie się najgorętszych życzeń serca.

Gospodarstwo dworu, po trudach zbierania orzechów, podejmowało całe zebranie krewnych, gości z sąsiedztwa i własnej rodziny sutym podwieczorkiem na zielonej łące wśród boru.

Nie znano herbaty i samowarów; jako napój posilny i orzeźwiający zastępowało herbatę piwo domowej roboty, smaczne i zdrowe, przytem miód sycony z ogrodowej *pasieki*, albo wino węgierskie, gdyż francuzkie rzadko gdzie używano. Kurczęta wcześnie upieczone, śmietana, sery i konfitury, smakowały wybornie po leśnych trudach. Zdobycz zsypywano razem, część znaczną odkładano na święta *Bożego Narodzenia*, resztę rozdawano na doraźny użytek.

Zabawiwszy się przyjemnie i wesoło aż do późnego wieczoru, cała radośna drużyna wracała do dworu przy świetle księżyca na przygotowaną kolacyę.

W pierwszych dwudziestu latach naszego wieku życie zbiegało się głównie, jak już mówiliśmy, około dworów wiejskich; w nich też wyhodowało się całe pokolenie niewiast, które z dziewic przeszły w poważne grono żon i matek młodego plemienia.

Zasady pobożności prawdziwej ustalały w sercach swoich córek, jak skromność i srom niewieści, który takim urokiem poetycznym każdą opromieniał; za wzorem rodzicielek swoich, dziatwę swą karmiły własną piersią, jako Bóg przykazał i czułe starania rozwijały nad swojem potomstwem.

Podwójne w te czasy było wychowanie panien: domowe i klasztorne, bardzo rzadko na *pensyi*. Jeżeli pierwsze odpowiadało wszystkim warunkom pożądanym, klasztorny kierunek żadnych korzyści, raczej szkodę dla rodzin przynosił; albowiem młodych dziewczątek myśli i uczucia odwracało od właściwego powołania kobiety, jako przyszłej żony, matki i obywatelki.

O tych świętych obowiązkach żadna panna z klasztoru, najmniejszego nie miała wyobrażenia. Oderwana od świata, od uczuć niewieścich i przyszłego powołania w społeczeństwie śpiewała na chórze, modliła się wiele, uczyła mało, skromną przywdziewała postawę i z rączkami na krzyż założonemi, jako istota bierna, pokorna i potulna, wychodziła z cichej celi zakonnej, w gwar życia światowy. Nie dziwota że wychowanki klasztorne, zwane pospolicie *gąskami*, które poczuwały gorętsze uderzenia młodego serca często na błędną drogę wchodziły, a błąkając się bez światła i przewodnika sumiennego, padały ofiarą swego obłędu. W rygorze zakonnym wychowane, chciwie się rzucały w ten gwar życia nieznany, a tyle dla każdej mający pociągu i powabu, jak ta biedna ćma nocna, co do świecy zapalonej nadlatuje z zapałem dla blasku płomienia, skrzydła sobie opala i ginie.

Z klasztoru nie wynosiły jak z pod oka matczynego, czystej i prawdziwej pokory chrześcijanki, ale tylko jej pozór i *dewocyę*, która w późniejszem życiu najgorsze wydawała owoce.

W żywych szczególniej usposobieniach, przemocą naciśnione uczucia, z wulkaniczną wybuchały mocą, i wtrącały biedne istoty w przepaść niezgłębioną, z której ratunku już nie miały.—Zamknięte w grubych murach klasztornych, obudzały w sobie dwie zgubne wady: ciekawość i zamiłowanie plotek, z których dopiero się po długiej pracy, lubo nie zawsze, wyleczyć mogły w gronie rodzinnem. Ztąd też czułe matki strzegły się pilnie oddawania córek na edukacyę klasztorną.

Inaczej we dworze wiejskim troskliwi rodzice hodowali swe dziewczątka. Wcześnie przy pracy i zajęciach gospodarskich używały one zabaw i rozrywek, żadna dla nich nie była obcą, ani zjawiskiem nadzwyczajnem jak w oczach panny wypuszczonej z celi zakonnej. Zabawy te miały dla pierwszych właściwy powab, pociągały, ale nie stawały się celem zachwytu jak dla drugich; nie zakłócały spokoju ich serca, ani nie zapalały wyobraźni, gdyż już obeznano się z niemi, i zawód z niedojścia rozrywki, był tylko chwilową chmurką na gładkiem czole, gdy *panny celkowe*, jak wychowanki klasztorne nazywano, myślały jedynie o tańcach i zabawach, których tyle lat nie znały, a zawód każdy, był dla nich powodem rozpaczy i łez rzewnych.

Miały pomimo to dobre też strony zakony kobiece, że natrafiwszy na łagodne usposobienie, wdrażały zamiłowanie do pracy, do modlitwy, do pełnienia swoich obowiązków i miłości bliźniego; zawsze wszelako wychowanki ich, gdy furtę klasztorną opuszczały, wchodziły w świat jako istoty na wpół zdziczałe, bojaźliwe, nieśmiałe — i trzeba było długiego czasu, ażeby się oswoiły z życiem rodzinnem i umiały znaleźć w większem towarzystwie. Wychowanka klasztorna a z bogatem wianem najłatwiej dawała się wykraść zręcznemu hołyszowi; łatwowierna na jedwabne słówka zalotnika, często brała chwilowe zajęcie, rozgrzanie główki, za prawdziwą miłość, a gdy po smutnem rozczarowaniu, uczuła rzeczywistą jej potęgę, już świat zamykał przed nią swoje wrota i musiała spełnić pełen kielich goryczy.

W zakonie, nie miała czujnego a miłującego oka matki, wsparcia zdrową radę na marzenia i fruwające, jak drobne ptaszki, niedojrzałe myśli, które nie wiedziały same, w którą stronę polecić mają. Trafiała na przyjaciółkę szczerą, ale równie jak sama niedoświadczoną, i chociaż dwie młode głowiny radziły razem, niewiele sobie poradzić mogły, gdy się rozbujała wyobraźnia i serce uderzyło mocniej.

Był czas pewien jednakże w tym okresie, że miała szeroki rozgłos edukacya klasztorna; ale społeczność prędko się spostrzegła, patrząc na wychowanki zakonne; wdowcy tylko oddawali tam swe córki pozbawione matek i opiekunowie nad sierotami, chcąc pozbyć się wszelkiej troski domowej.

Trafiały się lubo rzadko, jednostki młode, które z celi klosztornej, wchodziły w towarzystwo, jako doświadczone panny i odrazu zwracając na siebie wszystkich uwagę, zdobywały sobie świetny rozgłos w *wielkim* nawet świecie, zgromadzały w około siebie niemałe grono zwolenników.

Taką była panna *Gertruda K.* osiemnastoletnia, posażna sierota, bez ojca i matki. Przyzwawszy do towarzystwa *panią Podstolinę* daleko krewną, zacną niewiastę ale ubogą i bezdzietną, gdy wyszła z jednego klasztoru panien zakonnych w Warszawie, otworzyła w tem mieście dom swój, który zasłynął zarówno z gościnności, jak okazałego przyjęcia.

Pani Podstolina, robiła honory *gospodyni*, ale duszą wszystkiego była sama panna Gertruda.

W licznym zastępie jej wielbicieli, stała młodzież najpierwszych rodzin krajowych.

Biedna Podstolina, wyrwana z cichego zakątka wiejskiego dworku—wciągnięta w wir gwaru stołecznego miasta, wystrojona podług najświeższej mody, chodziła jak w zaczarowanym zamku, posłuszna poleceniom i skinieniom bogatej krewniaczki, która jak królowa, zarówno jej jak i licznej służbie wydawała rozkazy.

Tłumy gości w dnie oznaczone zbierały się do obszernego lokalu, który zajmowała w pałacu na *Miodowej ulicy*. Salon i przyboczne pokoje, ze szczególnym smakiem były przystrojone. Bywalcy, co zwiedzili pierwsze stolice Europy, z zachwyceniem spoglądali na smak tak wytworny i nie mogli pojąć: skąd go wzięła *panna celkowa*?

Ta nagła jej przemiana, ze skromnej, potulnej, ze złożonemi pobożnie rączkami, spuszczającej ciągle oczy w ziemię dzieweczki w pierwszą piękność salonową, postępującą z powagą królewską, z wdzięcznemi ruchami, jakby wychowanki zamku książęcego, całą młodzież zachwycała. Konkurentów, a szczerą mieli myśl dobijania się o jej rękę i wielki posag nie brakło, ale jeden po drugim dostawali *od kosza*, ze smutkiem opuszczając salon panny Gertrudy, bez żadnej nadziei.

Naraz rozbiega się wieść, że stary *wojewoda*, oświadczył się o jej rękę przyjęty został i dzień ślubu już oznaczony. Jakoż w parę miesięcy później, ślub się odbył w kaplicy katedry Warszawskiej Ś-go Jana i z mężem wyjechała do jego majętności.

Wojewoda miał niedaleko granicy pałac, o którego wspaniałości niesłychane opowiadano cuda, tymczasem za przybyciem na miejsce, Gertruda ujrzała gmach piętrowy, blizki ruiny, ze starego zamczyska pozostały. Mury i baszty, które go otaczały i stanowiły silną warownię w dawnych wiekach, już się w gruzy sypały; wysokie ziemne wały zarosły drzewem i krzewiną, a głębokie fossy, w części zasypane ziemią, w części zapełnione cuchnącą wodą, zatruwały powietrze.

Liczny orszak dworzan wysypał się tak z pałacu, jak z dwóch oficyn na przyjęcie państwa młodych.

Gertruda, dumna nową godnością wojewodziny, wyniośle przyjęła ich hołdy, stary kredencerz i piwniczy, poufały dworzanin od lat dziecięcych samego pana, Jan Rzewuski, rodem z Podlasia. Z podziwieniem spoglądał na młodą, piękną, a tak dumną panią. Była to trzecia żona wojewody: dwie poprzednie zeszły bezpotomnie.

Wojewodzina kazała pokazać swoje pokoje, w nich się zaraz rozgościła, przystroiwszy je z właściwym sobie smakiem. Mąż jej zajmował dawną siedzibę na dole, w prawem skrzydle zamkowem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SOFONISBA

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

Emanuela Geibla

przełożył z niemieckiego

Józef Grajnert.

(Dalszy ciąg).

Scena 4.

Ci sami. — Metumbal.

METUMBAL

Och, pani!

SOFONISBA

Cóż tam?.... Mów-że, masz nowinę?
Zdrętwiałeś, jakbyś nam przyszedł ruinę
Niebios oznajmić.

METUMBAL

Ach! uzbrój królowo
Wielką twą duszę w tarcz męztwa stalową....
Straszne nieszczęście!

SOFONISBA

Mów! mów!

METUMBAL

Na mnie przecie
Mścić się nie będziesz.

SOFONISBA (*dumnie*)

Nie bierz mnie za dziecię,
Mów prędko—wyrok losu głoś złowrogi.

METUMBAL

Od wojska przybył zbieg i straszne wieści
Przyniósł o klęsce naszych.

TAMARA

O wy bogi!
Nasi pobici!....

SOFONISBA

Hamuj jęk boleści
Popłoch nam mieni rzeczy przed oczyma....
Chcę widzieć gońca.

METUMBAL

Tchu w nim prawie niema,
Zaledwie straszne poselstwo wygłosił,
Zsunął się z konia i posiłku prosił.
Więc zawiedziono go w podwórze gmachu

SOFONISBA

Chcę go tu widzieć, skoro się pokrzepi;
Trzeba mi jasno patrzeć. Widmo strachu
Ma lwi obyczaj—zgromi je najlepiej
Wzrok nieulękły. Niech jednak załoga
Uzbraja mury: spuścić mosty, bramy
Zamknąć wrzeciądzem. (*Metumbal odchodzi*)

TAMARA

Siostro! siostro droga!

SOFONISBA

Nie drżyj przed czasem—jeszcze nie padamy....
Minęła tylko wesoła biesiada
I wieńce zwiędną.... Wojna jak wód fale
Rośnie w bałwany i na dół opada,
Lecz Syfax z burzą mierzy się zuchwale.
Męztwa, dziewico!....

TAMARA

Konając, przy tobie
Nie zadrżę. Będziemy siebie godne obie.

Scena 5.

Sofonisba, Tamara, Hiram, Bostar pokazujący się u wejścia.

HIRAM

Poseł, królowo.

SOFONISBA

Prowadź go tu do mnie.

BOSTAR (*posuwa się lękliwie*)

Zbliż się bez trwogi. Nie winię w tem ciebie
Że jak kruk wracasz, opowiedz przytomnie
Co wiedzieć muszę. Lecz pierwej niech w niebie
Przysięgę słyszy Bóg ogniokędziory,
Że fałszu w prawdy nie skryjesz pozory,

BOSTAR

Przysięgam!

SOFONISBA

Zatem mów.

BOSTAR

Staliśmy blizko
Hippony, kędy na morskie wybrzeże
Zepchnięte przez nas rzymskich wojsk mrowisko
W zamknięte kołem kupiło się leże,
Mając w pośrodku siebie widmo głodu.
Więc jako owoc, co własnym ciężarem
Z gałęzi pada, tak nam bez zachodu
Już się podawał tryumf. Świtem szarym
Dnia następnego miał Syfax uderzyć;
Wszystko już było do walki gotowe,
Już każdy szczęściu swemu rad uwierzyć
Do snu cichego położył był głowę,
By na bój stanąć, nim błyśnie zaranie.
Lecz w tem, o samej północy godzinie
Okrzyk się zrywa:—W obozie Rzymianie!
I zaraz w koło morze ognia płynie.
Namiotów naszych płonie trzcina sucha,
A kiedy pożar w krwawe słupy bucha,
Gdy dym się kłębi, a deszcz iskier pada,
Tysiąc przeszytych piersi jęczy: biada!
Tysiące wrogów wznosi krzyk zwycięzki...
Czyli Bóg jaki winien naszej klęski,
Czy ją nikczemna sprowadziła zdrada?
Nie wiem, nie mogę zdać sprawy.
Widziałem
Jak strasznym na nas toczyli się wałem:
Z orłami w górze, z dzirytami w dłoni
A śmierć za nimi.... Nie dobyto broni
Nie było walki, boju. Straszna siła
Głucho, okrutnie gniotła i dusiła
Wpółzbrojnych, którzy z piersiami nagiemi
Rwali się stawać—na zbroczonej ziemi
Stosy się trupów usłały wysoko—
Trupów podlanych czarnej krwi posoką.

SOFONISBA

A wódz wasz gdzie był? Gdzie były Punity?

BOSTAR

Napróżno w pole na obozu tyle
Syfax się kusił wojsk swych tłum rozbity
W szyk boju sprawić, czoło stawić sile.
Próżno wypuścił wściekłe stado słoni,
By zgnieść na miazgę wrogów groźną chmurę.
Chytrzy, smołowe wieńce z wprawnej dłoni
Jęli na trąby zwierząt miotać, które
Rycząc z boleści, strasznemi cielskami
W szeregi naszych nazad się zwróciły,
I kto stał jeszcze, legł pod ich stopami,
Wtedy królowo, losy się spełniły:
Gdy w cieniach nocy padła nasza sprawa,
Nad tłumem zbiegów wzbiła się kurzawa....

TAMARA

O zgrozo! zgrozo!

SOFONISBA

Jeszcze jedno słowo.
Czy wiesz gdzie król jest? Jeźli uszedł cały
To jest ratunek jeszcze.

BOSTAR

O królowo!
Jeśli nadzieje twe w nim spoczywały,
To już przepadły....

SOFONISBA

Co? Co się z nim stało?
Przysiągłeś prawdę wyjawić mi śmiało,
Więc mów.... Czy pojman?

BOSTAR

Już go nie dogoni
Rzymianin żaden. Zbiegł w dalekie strony.

SOFONISBA

Więc zginął?

BOSTAR

Zginął—ale z własnej dłoni.

SOFONISBA

Widziałeś?

BOSTAR

Tak jest. Włócznią przebodzony
Spadł z konia w chwili popłochu. Daremnie
Wierny mu giermek szuka ocalenia:
Wiódł go w mirtowych drzewin gęste ciemnie,
Gdy w tem z pożaru strzelił snop płomienia,
Złoty hełm błysnął.... Huf wrogów z oddali
Poznaje męża i radośnie krzyczy.
Ale gdy chciwi królewskiej zdobyczy
Gaj otaczają, on rękojeść stali
Wbił trzonem w ziemię, na ostrz miecza pada!
Trupem go wzięła sępów tych gromada.

SOFONISBA

O mój małżonku!
Odejdź, dobry sługo.
(*Bostar i Hiram odchodzą.—Przerwa*).

Scena 6.

Sofonisba, Tamara—później Hiram.

TAMARA

O nie milcz tak długo
W strasznym spokoju. Wypłacz twe boleści
U łona mego.

SOFONISBA

Wart był łzy niewieściej!
Ten mój wspaniały, mądry, ten ojcowski
Druh mój szlachetny!....
Głos go wezwał boski,
Ale na ziemi kto go tu zastąpi?
Lecz i to przejdzie....
Los mi czasu skąpi
Na żal niewieści i żałobę wdowy;
Krótkiemi tylko, pośpiesznemi słowy
Muszę się żegnać w rozdziału godzinie....
O! i łza słona wreszcie z oczu płynie!
Cieniom ją twoim oddaję w ofierze,
Żegnaj mi! żegnaj, królu bohaterze!
Świetne wawrzyny dla zwycięzkiej głowy
Już wiłam biedna, dziś nawet nie mogę
Ubrać się w ciemny wieniec cyprysowy.
Ale odważnie idąc w moją drogę
Uczczę, o uczczę kiedyś cienie twoje....
(*do Tamary*)
Przez długie lata żyliśmy oboje
Duchem jednego uczucia złączeni,
Za jednym celem w jedne dążąc szlaki.
O! ból to srogi, skoro węzeł taki
Zrywa się nagle, a tu przed oczyma
Nic nie zostaje i serce nic nie ma!
Lecz cicho bądźcie, żale wy dziecięce:
Oto kraina moja nieszczęśliwa
Pomocy żąda i królowej wzywa:
Tobie mój ludu na ofiarę święcę
Prawo małżenki do żałoby cichej;
Nie z wyniosłości to robię, nie z pychy—
Czynów a nie łez żąda ten czas srogi
I przeznaczenie po nad zwykłe drogi
Wznosi mnie nagle. Z serca mego przeto
Wyrzucam wszystko, co słabą kobietą
Jest jeszcze we mnie. Chcę nosić koronę
Na silnem czole.

HIRAM (*wpadając*)

Oh! ratuj się pani!
Rzymianie idą! tłumy niezliczone
Skalną doliną ciągną. Już widziani
Są z baszt. Uciekaj....

SOFONISBA

Nie będę uciekać!
Wieści mi raczej niesiesz upragnione:
Chcę tu na wrogów w domu moim czekać,
Jako lwia wdowa, co dla zemsty swojej
W głębi jaskini pazury swe zbroi;
Podobnych uczuć wchodzi we mnie siła.
Walka z Rzymiany dawno sercu miła,
A siła wrogów ducha nie przestrasza
Bo na ich liczbę jest nienawiść nasza!
Prędko odstąpi ztąd ta zgraja podła,
Podąży z niemi krwawych głów ohyda....
Ja zacną będę walkę z murów wiodła
Stojąc na blankach jak Semiramida.

TAMARA

Słowa mnie twoje jak żar w piersi palą:
Na śmierć czy życie nie pójdziesz już sama....
(Nagle krzyk i głuchy łoskot potem)

SOFONISBA

Co to za wrzaski! jak zgrzytnęła brama!
Czy to już wrogi taranami walą?

HIRAM

Nie jeszcze—jeszcze nie mogą być oni....

SOFONISBA

Pancerza prędzej! Pancerza i broni!....

Scena 7.

Ciż sami i Metumbal z dobytym mieczem.

SOFONISBA

Czego tu szukasz? Co znaczy twarz blada?
Nie tu twe miejsce.

METUMBAL

Zdrada pani! zdrada,
Niechaj hyeny porwą nikczemników....

SOFONISBA

Mów jasno....

METUMBAL

Wrzawa pomieszanych krzyków
I łoskot bramy, spękanych podwoi,
Czyż tu nie doszły? To tłum służby twojej,
To twa załoga pani, podłą zgrają
Bramę wyparła. Tchórze uciekają!
Rzymskie ich orły przeniknęły łrwogą,
Boki rumaków kalecząc ostrogą
Uchodzą—w górskie chcą się schronić strony.

SOFONISBA

Przekleństwo nędznym.

METUMBAŁ

Teraz ledwo mamy
Siedmset wiernej straży, ci zburzonej
Ani godziny nie osłonią bramy,
Na klęczkach przeto błagam cię, uciekaj!
Uciekaj w porę! Bramą ku krynicy
Jeszcze w palmowy gaj ujdziesz, nie zwlekaj.
(Słychać zdaleka trąbkę)

Słyszysz! to surmy już rzymskiej konnicy!

SOFONISBA

Ha! I bez walki!

TAMARA

Dla pamięci męża,
Dla zemsty, dla nas, zachowaj swe życie!
Uchodź!

HIRAM *(u balustrady na prawo)*

Zapóźno. Widzę błysk oręża
W gaju palmowym. Znać, powiódł ich skrycie
Ktoś miejsca świadom; zamek obsaczony,
Ścieżki zamknięto!

SOFONISBA

Ha! losu zrządzenie
Samo od pokus ucieczki spodlonej
Chce nas obronić. Wolę Bogów cenię.
Droga już jasna: musiem utorować
Gościniec mieczem, lub miecz w pochwę schować
I paść haniebnie. Dajcie mi swe życie—
Ja wam śmierć piękną dam—wielką.... Słyszycie?
(Po chwili namysłu)

Jest u Lwiej-bramy pochyłość, którędy
Wycieczka łatwa. Tą się rzucim stroną,
W klin ścisły zbite, szczupłe naszych rzędy
Muszą przez sieć się przedrzeć rozstawioną
Sprobujmy! Żądny ofiar śmierci wrogiej,
Będzie Syfaxów cień krwawy na przodzie.
Wiódł nas do walki i zbawienia drogi
Zdobyć pomoże. Lecz w rączym pochodzie
Nie traćmy chwili. Metumbalu, dalej,
Biegnij w lot, szykuj nam wierną drużynę!
Ja w ślad twój pomknę, w odzieży ze stali.
(Metumbal odchodzi)

Pancerz, Hiramie!
(Ten wkłada na nią zbroję)

Jak ciężką ruinę
Nadziei los ci zgotował, Tamaro.
Biedna! pod siostry dach przychodzisz z wiarą,
I miast przytułku—cóż masz?

TAMARA

Hazdrubala
Krew w moich żyłach, siostro, także płynie,
I w mej też piersi duch jego zapala
Ogień, co płonąć winien w tej godzinie
(Porywa oszczep z pomiędzy trofeów)

Patrz, dzięki dawnej dziecięcej swawoli,
Potrafię jeszcze oręż unieść w dłoni!....
Srogie, ach srogie to brzemię niedoli—
Skoro ty giniesz, gińmy w jednej toni:
Pójdę za tobą siostro!....
(Odgłos trąb)

Ależ, co to!
Oni!
(Podchodzi ku balustradzie)

SOFONISBA

Cóż widzisz?

TAMARA

Szyk ich okazały
Zwolna do mostu, w równej kroczy mierze
Stanęli śmiało. Ot, w opończy białej,
Wyskoczył jeździec na pysznym berberze,
Znać, wódz—ma w hełmie pęk czaplego pierza;
Wita go wojsko. On konia wstrzymuje,
Przemawia....

SOFONISBA *(wciąż jeszcze zajęta zbrojeniem się)*

Gdzie są?

TAMARA

Na skraju wybrzeża.
Prosto przed nami. Prawie dolatuje
Głos jego do mnie.—Oh! jak brzmią okrzyki—
Wojsko mu klaszcze.... Słyszysz?

SOFONISBA *(zupełnie uzbrojona biegnie ku balustradzie)*

Wnet ten dziki
Hałas zagłuszę. Prędzej łuk i strzały!
Zaraz tu padnie ten bohater śmiały
Jak dzisiaj rano padła tygrysica....
(Odebrawszy łuk w środku sali, naciąga go).

TAMARA

Tu patrzy.

SOFONISBA

Śmierć mu!

TAMARA

Wstrzymaj grot swój srogi!
Przez wieczną światłość, stój! Ja znam te lica,
To nie Rzymianin!

SOFONISBA

To cóż!

TAMARA

Wielkie Bogi!

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORYA
O JANASZU KORCZAKU
I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNIE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Noc to była bezsenna cała i niepokoju pełna — z przestrachu, wzruszenia, ran i wysiłku nadzwyczajnego w obronie Miecznikowej i Jadzi Janaszek dostał gorączki. Chociaż Dulęba ręczył, że rany od strzał tatarskich nie były niebezpieczniejsze nad ukąszenie komara, jednakże kilka z nich wbiły się w ciało głęboko, a wyjmowanie ich rozdarło rany. — Korczak stracił wiele krwi — nim ją i zatamować zdołano. Trudno go było uspokoić i na łożu utrzymać, zrywał się ciągle z krzykiem wielkim, chcąc biedz na ratunek.

Słysząc ciągle z ust jego imie swoje i matki, Jadzia nie mogła się od łez powstrzymać. Głos jej uspakajał go na chwilę; jak muzyką poił się nim. Spoglądał w tę stronę, z której go dochodził, potem zamykały się mimowolnie powieki.... usypiał i zrywał się pod wrażeniem strasznych snów, w których powtarzała się scena poranna.

Ani Jadzia, ani Miecznikowa szczęściem nie były ranne; obowiązek czuwania nad sobą i ludźmi dodawał im sił, chociaż i one czuły się znużonemi. Dość było tę chwilę przypomnieć, gdy się przed niemi zjawiły ohydne twarze dzikich, z których jeden już niemal rękę kładł na ramieniu pani Zboińskiej. Jadzia chodziła także jak w gorączce, lecz zajęta ciągle Janaszem, nie miała czasu rozmyślać o strasznej przygodzie swej. Gotowano ziółka, przysposabiano bandaże, modlono się pocichu i tak noc zeszła cała. Miecznikowa wiedziała, że cokolwiek uczynić można, to ksiądz Żudra z Dulębą i Nikitą dla obrony zamku przedsięwezmą. Nie rozpytywała się więc napróżno. Z północy już, widząc światła w oknach, a sam się nie kładąc Ks. Żudra zastukał do izby, w której Miecznikowa siedziała zamyślona.

— Pani moja powinna i sama iść spocząć i pannie Jadwidze toż samo polecić. Gdzież panna Jadwiga? Śpi?

— Gdzie tam, mój ojcze, siedzi przy łóżku Janasza. Nie mogę jej od niego odciągnąć. Prawda, że poczciwe chłopię za nas cierpi.

— Ja ją wyręczę i jeśli potrzeba, pobędę przy nim do rana, a jej spocząć czas. Bóg wie czy następną noc spać będziemy.

— Idź-że, mój ojcze, i przyślij ją do mnie. Sądzę, że i Janaszowi też byłoby lepiej, żeby zasnął.

Ksiądz Żudra wyszedł zaraz i wprost udał się do izby, w której ze służącą razem Jadzia czuwała nad chorym. Znalazł ją w krześle obok łóżka, z rękami załamanemi na kolanach, z oczyma wlepionemi w chorego, zapłakaną. Kobieta, która jej towarzyszyła, siedziała obok ale dawno uśpiona.

Ksiądz szepnął, aby Jadzia szła do matki — ale Jadzia głową tylko poruszyła.

— Ja tu muszę siedzieć, bo mu z tem spokojniej i lepiej, odezwała się cicho.

— Ale on uśnie i lepiej mu będzie z tem daleko, bo sił nabierze.

Jadzia główką potrząsła, ksiądz nalegał, wstała więc więc pocichu i ruszyła się kroków kilka, gdy, jakby przeczuwszy jej oddalenie, Janasz się porwał z krzykiem i zawołał:

— Tatarzy! Tatarzy! Nikita, stawaj, zasłońmy panią, pal!

Gorączkowy, dziki głos Janasza i rwanie się jego jakby szukał oręża, natychmiast Jadzię zwróciły. Przystąpiła znowu do łóżka i odezwała się:

— Proszę leżeć cicho. Jesteśmy na zamku!

Chory zamilkł, obejrzał się, posłuchał, ona powtórzyła raz jeszcze co mówiła, zamruczał coś i posłuszny legł na poduszki. Jadzia mu rękę przyło-

żyła do czoła, potrzymała ją tak chwilę—i znowu usypiać zaczął. Ksiądz Żudra patrzał trochę zdziwiony i zakłopotany. Dał jej nic nie mówiąc znak, aby odeszła. Posłuszne dziewczę odjęło rączkę, i wnet chory jęczeć i poruszać się zaczął—spojrzało na księdza, przyłożyło ją—i ucichł.

— Panno Miecznikówno, odezwał się ksiądz Żudra—już tylko idźcie, ja na niego też sposób znajdę...

Choć z widoczną przykrością i odwracając się ciągle ku niemu, Jadzia wreszcie odeszła—Janasz się ruszył i zaczął jęczeć, ksiądz schylił się ku niemu i przemówił słodko. Reszty już dziewczę nie widziało, bo musiało iść do matki. Zeszło więc ze spuszczoną głową, powoli, zamyślone. W progu Miecznikowa ją uściskiem powitała.

— A! co za dzień! co za dzień, dziecko moje. Ja jeszcze do siebie przyjść nie mogę. Bóg mi ciebie ocalił. Łzy wdzięczności płyną. Idź—spocznij, Korczakowi nic nie będzie....

— Cierpi bardzo — matuniu — a we śnie, żebyście wiedzieli—o niczem nie mówi tylko o tobie i o mnie. Śni mu się jeszcze ta straszna chwila.

— Mnie ona życie całe przytomną będzie—odparła Miecznikowa, bo ja—ja ją mam na sumieniu....

— Matko — i ja! Ciągle go prześladowałam, że tchórz, mój Boże!—zawołało dziewczę; zakryło sobie oczy.

— Jednakże, Jadziu moja, dodała cicho matka—nie dobrze, byś tam zbyt długo przesiadywała przy nim.

— Dlaczego? spytała zdziwiona Jadzia.

— Nie pora ci to tłumaczyć—dziecko moje—dlaczego nie chciałabym, aby poczciwy Janasz ciągle cię miał na oczach. Już i tak aż nadtoście do siebie przywykli.

Jadzia tak była tą mową zdziwiona, iż chwilę stała, jakby jej zrozumieć nie mogła.

— Ależ, moja matuniu!

— Jadziu droga, on młody, jemu się w głowie łatwo przewrócić może.

Jeszcze dziewczę nie zdawało się rozumieć, ale rumieniec na twarz jej wytrysnął.

— Dlaczego mu się ma zawracać głowa?—odparła powoli. — Myśmy z sobą od dzieciństwa jak siostra z bratem. Cóż w tem złego? a wczoraj, czy dziś.—bo już nie wiem kiedy—krwią jego nasza drużba się zapieczętowała.

— Ale ja wam tej braterskiej przyjaźni nie bronię—odezwała się matka zmieszana nieco.... tylko....

— Niechże matunia mówi wszystko, wtrąciła Jadzia—proszę, proszę.

— Niepodobna się tak przywiązywać zbytnio choćby do brata—dodała Miecznikowa. Żyć z sobą nie będziecie zawsze.

— Jak to? dlaczego?

— Przecież i jego los gdzieindziej powoła, i ty—i ty opuścisz nas a pójdziesz z kim innym.

Jadzia westchnęła.

— Ja o tem pomyśleć nie umiem! — rzekła — bez was, bez ojca, bez ciebie, bez niego—a! jakżebym ja żyć mogła! nie mówmy o tem.

— Nas, moje dziecko — mówiła matka poważnie, nas mieć będziesz zawsze, my cię nie opuścimy i nie damy cię nikomu, coby me jedyne dziecię gdzieś uprowadził daleko, ale Janasz! Z niego będzie albo żołnierz, albo gospodarz, on musi gdzieś pójść szukać szczęścia, dorabiać się doli o własnej sile. Z nim zawsze nie będziemy.

Jadzia stała zamyślona głęboko, jeszcze nie chcąc słów matki zrozumieć i wziąć za prawdę. Miała to za groźbę tylko, groźbę niebardzo jasną.

— Przyznam się matuni, że ja—jabym, gdziekolwiek będę, Janaszka wzięła sobie. Ja nie mogę pomyśleć nawet o tem, żeby bez niego żyć, tak do niego przywykłam.

— Ale to właśnie—źle!—zawołała Miecznikowa.

— Źle? powtórzyła pytając Jadzia.

Niewinne dziecko matka pocałowała w czoło, przycisnęła do siebie i chciała ją odprawić, aby spoczęła—lecz dziewczę zwróciło się do niej jeszcze.

— Po co Janasz ma gdzieś między obcymi szukać szczęścia i doli? Czyż my mu jej zapewnić nie możemy? Jabym się z nim jak z bratem podzieliła! a! najchętniej!

— Zostawmy to ojcu—dziecko moje—zakończyła matka—to do niego należy, a teraz zaśnij, proszę cię. Idź, jeźli chcesz, powiem ci, że przykazuję.

Pocałowała w rękę matkę Jadwiga, uczuła krzyżyk który jej matka zakreśliła nad czołem, i wyszła. Miecznikowej nie do snu było. Pierwszy raz miała taką znaczącą rozmowę z córką i czuła się niespokojną wielce. Dotąd to przywiązanie wcale jej nie trwożyło; teraz głębsze w wyrazach Jadzi wyczytała znaczenie. Dziewczę wyspowiadało się przed nią, odkryło jej serce. Miecznikowa się przestraszyła. Dzień ten nową przynosił trwogę, jakiej dotąd nie miała. Dzieci kochały się—nadto. Niewinne uczucie mogło w każdej chwili wybuchnąć płomieniem. Dla serca matki było w tem coś przerażającego. Sierota, chłopak bez domu i rodziny, miałby śmieć na Jadzię podnieść oczy! Miecznik nie mógłby nawet przypuścić nic podobnego, ni w żadnym razie zezwolić. Nie przeszło mu to przez myśl, tak jak dotąd matce. Należało więc co rychlej ich rozdzielić, pod jakimkolwiek pozorem, aby niebezpiecznemu przywiązaniu nie dać się rozrosnąć zbytecznie. Miecznikowa miała nadzieję, że dokona tego zręcznie i jak najmniej dla obojga boleśnie.

Była pewna, że Janasz ani mógł śnić o Miecznikównie—i to ją pocieszało; chłopak był nadto skromny, pokorny i pamiętny tej nędzy, z jakiej go wyrwano. Jemu też nie przypisywała wcale, żeby zbytnią poufałością wywołał to uczucie, ale—rozmarzonej główce córki i bujnej młodości, która ma zawsze serce pełne, a zbytek jego wylewa na świat i ludzi, nie patrząc kto miłości godzien.

Ile razy na myśl przyszedł jej mąż, drżała, poczciwy i zacny pan Miecznik, powolnym był w wielu rzeczach, ale dla córki marzył losy świetne, może daleko świetniejsze niż matka.... Cóżby powiedział, gdyby mu choć w żarcie wspomniano Janaszka? Kochał go jak dziecię, to prawda—ale społeczne warstwy w jego sercu i głowie układały się w pewnym porządku, którego nic, nawet największa miłość naruszyć nie mogła.

Tak myśląc Miecznikowa, przyszła jednak do przekonania, że obawy jej były próżne, że dziecka nie zrozumiała i że zgrzeszyła zbytkiem troskliwości. Przeżegnała się, pomodliła, uspokoiła.... i znużona gdy dzień już szary do okien zaglądał, padła w krzesło snem złamana.

Na zamku ruch był wielki.

Nikita sam pobiegł na miasteczko do znajomego Abrama, po radę i zapasy żywności.

Nad spodziewanie całą rodzinę zastał na nogach. Tu już wiedziano o wszystkiem co się stało i o ucieczce Dorszaka, a stary wnosił także, iż orda na na zamek napadnie. Właśnie jeden z rodziny zbierał się iść prosić, aby ich przyjęto do zamku, bo najazd najprzód musiał bezbronne dosięgnąć miasteczko.

— Zabierajcie co najwięcej żywności z sobą, zawołał Nikita—i nie opóźniajcie się ze schronieniem na zamek, bo, (tu szepnął mu w ucho) most spalimy.

— Ja to chciał mówić—rzekł Abram—inaczej się opierać trudno.

To mówiąc stary odciągnął go na stronę.

— Dorszak uciekł?

Nikita począł z zapałem opowiadać o losach zdrajcy i jego żony. Stary głową trząsł i niepokoił się coraz mocniej.

— No — Dulęba, to cała nadzieja, on nas może uratować, jego się Tatarowie boją — on jeden im straszny; a no....

Nie dokończył Abram i nachylił się do ucha Nikicie, lecz jakby namyśliwszy się i nic nie powiedziawszy odstąpił, dając znak ręką, że się to na nic nie zdało.

— Mów, podchwycił Nikita.

— Jest lepsza u nas kryjówka niż na zamku—a no, już może do niej późno. W miasteczku o niej nie wie osób więcej jak dwie lub trzy. Dorszak napróżno zawsze starał się ją odkryć. Tajono ją przed nim. Kilkaset lat temu już, jak się ludzie w niej od napadów dziczy tej kryli.

— Gdzie?

— W górach, niedaleko, jest pieczara, do której trafić, kto nie wie, niepodobna. Wielu ona już tysiącom ocaliła życie, ale—zapóźno do niej, a w biały dzień, nie można.

Nikita wyjrzał przez okno: na niebie zaledwie szarzało.

— Gdyby to pewne było, niechby pani i panienka się skryła, my byśmy się na zamku bronili.

Abram też do okna poszedł.

— Późno — rzekł — nim się wybiorą, nim wyjdą, dzień się zrobi, nic nie gotowe.

— Zaten na zamek — dodał Nikita, możecie się schronić i wy i kto z wami będzie, ale żywność zabierajcie.... Jeżeli Tatary do nocy nie nadejdą, no—a pani zechce — przyszłej nocki możemy się schronić do pieczary.

Wyszedł Nikita, a choć jeszcze dzień zaledwie się obiecywał, na miasteczku spotkało go dużo ludzi. Wszyscy chodzili niespokojni.... Spędzano bydło, ładowano wozy, niektórzy prosili się na zamek, inni milcząc wybierali się w góry i parowy. Wszyscy niemal pewni byli, że Tatarzy przyjdą. Znali Dorszaka.

Wzdychając patrzeli niektórzy na swe domy, które z płomieniem pójść musiały. Niewielu ufniejszych w to, że orda się nie waży, że pułk Dulęby ją odstraszy, chcieli pozostać na miejscu. Ale i ci rzeczy znosili do lochów i dołów, szukali kryjówek, aby w pierwszej chwili schronić się do nich, gdyby orda wpadła. Wiedzieli, że nigdy Tatar długo ani oblega, ani w miejscu uleżeć może—że tylko pierwsza jego napaść najstraszniejsza.... Tu zaś, czyby zamek wzięli czy nie, osadzać go nie mogli.

Dwóch ludzi korzystając z mroku, już pod mostem pale słomą okręcało, oblewając smołą i dziegciem. Nikita wpadł na zamek z nowiną o pieczarze, wprost do pułkownika, który w izdebce księdza Żudry dnia oczekiwał, wcale kłaść się nie myśląc. Popijał co mu dawano, przekąsywał co się znalazło, ziewał i gadał nieustannie, a oknem wyglądał, czy nie czas mu do swoich, aby zaraz posiłek dać zamkowi i w porę ludzi przysłać.

Gdy Nikita ze swą obwiązaną głową zjawił się we drzwiach, Dulęba właśnie opowiadał ze szczegółami księdzu, jak się kochał w Agafii i jak ona naówczas wyglądała. Klął, wzdychał i pił, cały rozogniony tem, że mu los zdarzył ją dziś z tego okropnego wyzwolić lochu.

— Do pierwszego spotkania z Dorszakiem, mówił — za to obejście się okrutne z kobietą — będzie wisiał, jakiem żyw.

A cóż ty powiesz?—odezwał się obracając do Nikity.

— Wszystko co było zrobić można, to się już zrobiło. Most do podpalenia gotowy. Z miasteczka ludzi dużo na zamek dolny ciągnie, by się schronić, i co mają żywności to zabiorą z sobą. Ale—rzekł—gdyby my się wcześniej opatrzyli, byłby może lepszy sposób niż na zamku ich czekać.

Poskrobał się w głowę.

— Cóż takiego?—zapytał pułkownik.

— Ludzie tu wiedzą o pieczarze, do której się nie jeden raz kryli przed Tatarami.

— A myślisz że Dorszak i Tatarzy o niej wiedzą?

— Tak mówią.

— Alboż nie było już tu takich historyi, gdy po kilkuset ludzi dymem duszono w tych jaskiniach? rzekł Dulęba. Tam, gdy wyszpiegują, niema ratunku, tu się przynajmniej bronić można, a choćby poledz uczciwie.

Jak dzień, Dulęba konie kazał siodłać. Żegnać się z Miecznikową nie było czasu, bo czekać nie mógł, a budzić nie chciał. Dzień się obiecywał mglisty i wilgotny. Pułkownik pokrzepiwszy się dobrze, zszedł już ze zbroiczką i misiurką i dwóma szablami, z których jedną w ręku trzymał, na dół w dziedziniec. Konie stały pokulbaczone. W podwórzu pełno było przyciągających z miasta wozów i ludzi, którzy dłużej czekać nie chcieli. Obóz zakładano na dolnym zamku, gdzie się ledwie było można przecisnąć. Żydzi, Rusini, Ormianie, Wołochy, koczowali po pod murami przy kupach rzeczy swych, węzełkach i worach, które tu pościągali. Widok był osobliwy tego spłoszonego ludu obojej płci, leżącego i siedzącego na ziemi. Kobiet z dziećmi u piersi i na kolanach, wozów, na których dziatwa drzemała ponakrywana świtami, beczących owiec, bydła, powiązanych ladajako koni i snujących się wśród ciżby starców.

Stary Abram ze spokojem człowieka, który dopełnił co mógł, przywdział śmiertelną koszulę, obwiązał rękę i odprawiał modlitwy, nie zważając na to, co go otaczało. Zamek już był pełen, a z miasteczka jeszcze opóźnieni ciągnęli przez most i rozkładali się w bramie i na wałach. Na moście stała straż od świtu. Dulęba już miał na koń siąść, gdy mu Agafia na myśl przyszła i ochota go wzięła ją pożegnać.

Poszedł więc do murowanego domu i jak się spo-

dziewał, znalazł ją w tem samem miejscu, gdzie zostawił, na poduszkach, wtuloną w kąt i jakby zdrętwiałą. Horpynka na ziemi siedząc u nóg jej, drzemała.

— Jedziecie pułkowniku i opuszczacie nas?— zawołała zrywając się Agafia — to my tu przepadniemy! a ja dostanę się znowu w ręce tego zbója.

— Jest komu zamku bronić— rzekł Dulęba — nie ma się czego lękać. Ja do komendy rad nie rad jechać muszę, dlatego że i tu ludzi trzeba przysłać w pomoc. A dlaczego macie przepadać?

— Któż lepiej zna zamek nad niego? — przerwała Dorszakowa—wieleż to my tu lat mieszkamy? Każdy kąt on opatrzył sto razy. Samam słyszała od niego, że wie o takiej wycieczce, którą, prawda, z zamku się można wydobyć, ale i do zamku dostać. Czyż on z tego teraz nie skorzysta? Zastanowił się nieco Dulęba.

— No! choćby tam jaka dziura była—rzekł—nie może nią więcej wchodzić ludzi, jak po dwóch, to ich tu ci Miecznikowscy, determinowane chłopy, jak szczurów wytłuką.

Agafia podniosła czarne oczy na Dulębę i uśmiechnęła się gorzko.

— Oni pewnie cisnąć się nie będą—rzekła – dosyć by baryłkę prochu podłożyli, to kawał muru wysadzą i ludzi wybiją.

Schwycił się za głowę pułkownik....

— Nie może to być! nie może! nie mówcie nawet o tem. Bóg łaskaw, nie dopuści. Nim się oni zbiorą—moi ludzie tu będą, mury osadzimy i z oka ich nie spuścimy.... Rusznice mają dobre, do zamku się zbliżać nie dadzą.

— Daj to Boże—zawołała Agafia—a jeśli żyć będziemy, pułkowniku! zaklinam cię, odeślij mnie do rodziców, ja tu zginę, oni mnie strują lub umorzą.

Nie chciał słuchać dłużej Dulęba, niemogąc nic poradzić, pocałował ją w rękę i wyrwał się jak oszalały. W podwórzu konia dosiadł, odwrócił się głową żegnając Nikitę i księdza, i zatętniało tylko po nim na moście.

Dzień się robił coraz większy, ale mgła gęstsza była coraz. Dalszych gór na wzdłuż doliny już dojrzeć nie było można. Postawione na basztach straże miały rozkaz, okrzykiem i strzałem dawać znać, gdyby się co ruszyło w dolinie, a u mostu natychmiast podpalić miano pale.

Pomiędzy ludem zdania były różne. Niektórzy utrzymywali, że próżny popłoch puszczono, bo Tatarowie się nie ważą, inni rachowali, że prędzej jak jutro być nie mogą. Zgadywano o jakiej porze dnia oczekiwać ich należało.

Kto mógł się wdrapać na mur, spoglądał z góry. Niektórzy na dachach siedzieli. Na wypadek szturmu starsi ludzie nagotowali kamieni, kupami je kładnąc, bo starym obyczajem niemi się tylko bronić było można, dział nie mając dostatkiem ani prochu. Z pierwszego podwórca bruk prawie cały wydarto, i co gdzie było gruzu pościągano wszystek.

W miarę jak czas upływał spokojnie — otucha w serce wchodziła.

— Nie ważą się—mówiono.

Lecz nikt napowrót do miasteczka nie odchodził. Nadeszło południe, mglista dolina leżała cichą i pustą.

Na górze już ze dniem, ledwie przespawszy się, powstawali wszyscy. Ksiądz porzuciwszy Janasza, który głębokim snem usnął nareszcie, przygotowywał się do odprawienia Mszy świętej, choć noc całą prawie spędził na czuwaniu. W maleńkiej kapliczce zebrało się kilka osób, klękła Miecznikowa z córką, modlili się wszyscy gorąco, było za co dziękować i o co prosić. Dziwny gwar, z dolnego zamku, ludu, który się tam zgromadził, dochodził aż tutaj— przerywając modlitwę.

Tak się rozpoczął ten dzień niepewności i trwogi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Ojczulek.—Komedya w 1 akcie przez J. Blizińskiego.

Czytelnicy—nie bierzcie nam za złe a raczej nie nam przypisujcie winę, że po dwóch miesiącach, teraz się dopiero odzywamy. Nie było o czem mówić, tem bardziej pisać. Większość artystów na urlopie, a z mniejszością trudno dojść do jakiegobądź, choćby *letniego* repertoaru. Kilka jednoaktówek z niemieckiego i dotego przerobionych niefortunnie, zagranych bez powodzenia, oto i wszystko. Dlatego ucieszyliśmy się widząc na afiszu jednoaktówkę oryginalną, napisaną nadto przez autora, który sobie już zyskał sympatyę w „Kawalerze marcowym.“

Nie powiemy, iżbyśmy tu znaleźli wiele pomysłów nowych—owszem, historya wydania gwałtem córki za mąż, powtarza się już cokolwiek w komedyach p. Blizińskiego,—lecz motywa wydania tej córki koniecznie za mąż, tym razem są odmienne.

Pan prezes bowiem (prezes: dozoru kościelnego, ale zawsze prezes) niegdyś sekwestrator, zagarnął po jakiejś swej kuzynce majątek z opieką, i za gotowiznę kupiwszy dobra, tak w nich żył i tak rządził, że wszyscy byli pewni, iż on jest najprawniejszym posiadaczem; córka jego Kocia najprawniejszą właścicielką, a Antosia siostrzenica, sierotą trzymaną z łaski. Tymczasem rzecz się miała wręcz przeciwnie, bo pan prezes był tylko administratorem majątku nieswojego, a owa Antosia panią. Rzecz tę wyjaśnił jakiś konkurent Antosi; ale pan prezes zanim się rzecz wydała, plącze się, intryguje, podmawia ciągle to jakiegoś młodzieńca, synowca pani generałowej, iżby się żenił z jego córką, w przekonaniu że on weźmie cały po niej spadek, to ex-guwernera tego młodego człowieka, to córkę własną, to Antosię, z którą nawet radby się sam ożenić. Plątaninie tej nie byłoby końca, gdyby nie szlachetność samej Antosi, która się połową majątku dzieli z opiekunem i jego córką.

Powtarzamy, tyle tylko nowości, że tym razem chytry opiekun staje się dyplomatą wiejskim, dla dobra własnej córki, inaczej przypominałby cokolwiek męża „Przezornej mamy.“ Ale mniejsza o najczystszej wody oryginalność pomysłu, byle obrobienie było żywem i zajmującem. Otóż pierwsza połowa sztuki, wyjąwszy dyalogu między panem prezesem a jego famulusem Błażkiem, szwankuje na rozwlekłości akcyi samej, a głównie dyalogowania, lecz od drugiej połowy a zwłaszcza od sceny, gdy prezes udaje zemdlonego, znacznie się ożywia i nawet znacznie zabarwia rzeczywistym humorem.

Dowcipne uwagi, trafne spostrzeżenia, stanowiące główniejsze warunki talentu pana Blizińskiego, i tu gdzie niegdzie zdołały się wybić na wierzch i szczerze rozweselić najlepiej dlać usposobioną publiczność, — potrzeba tylko pojedyncze sceny skrócić czyli akcyę uprościć.

Wybitnym charakterem jest pan prezes, matacz, *fines* jak to mówią, podejrzywający wszystkich bliźnich swoich o łotrowstwo i egoizm, a siebie uważający za „sprawiedliwego.“ A doskonale lubo sylwetkowo nakreślony Błażek, głuptaś, grający rolę powiernika pańskiego;—inne figury wychodzą blado i konwencyonalnie, być może z przyczyny najgorszej gry artystów.

Pan Grubiński mimo wyraźnych wskazówek autora, nie potrafił z roli swej wydobyć tych efektów, które się same narzucały prawie. Zamiast być gagatkiem poczciwym, papinkowatym mazgajem, był ni tem ni owem, przykładał chustkę do oczu wtedy gdy nie było trzeba, a nie płakał wtedy, gdy właśnie wypadało.

O grze pana Holcmana rozwodzić się nie chcemy, byłaby to praca bez pożytku.

Pan Rapacki jako prezes grał bardzo dobrze, gdyby tylko czasami nie przeciągał zanadto i nie przybierał zbyt płaczliwego tonu. Efekt też w ostatniej scenie, gdy ma błogosławić, powtórzony pięć czy sześć razy, staje się w końcu nudnym, a przypomina niezbyt fortunne zakończenie „Posażnej jedynaczki.“

Pana Damzego chwalimy z całego serca, za doskonałe oddanie charakterystycznej roli Błażka,— wiejskiego wściubskiego a gapia. Jednobrzmiący oklask dany p. Damzemu, powinien był przekonać młodych zwłaszcza artystów, rwących się do ról wielkich, że niema złej roli dla aktora zdolnego i chcącego nad nią popracować.

Nie możemy nie wspomnieć tutaj o grze pani Bakałowiczowej i p. Tatarkiewicza, w ogranej ale zawsze bardzo przyjemnej komedyi pod tytułem: „Fortepian Berty.“ Pierwsza, czaruje zawsze szlachetną i pełną wdzięku grą swoją; p. Tatarkiewicz zaś znajduje tu najlepszą wskazówkę kierunku swego talentu. Lekkością, humorem i pewnym odcieniem dramatycznego uczucia, staje się on odrazu panem sytuacyi i pewnym spółczucia słuchaczy, a czegóż można żądać więcej?

W „Piosnce wujaszka,“ rolę po p. Żółkowskim, Plazia Ciociewicza, objął p. Szymanowski. Przewyborny to Plazio!—o lepszym nie marzył nigdy sam autor. Pan Żółkowski grając go po swojemu, zrzekł się jednak roli dobrowolnie, bo czuł niestosowność wieku;—p. Szymanowski zaś zrozumiał godnie następstwo, i niewyczerpanym humorem, doskonale od początku do końca utrzymaną postawą i grą twarzy, wydobywał nieustającą i wrzawliwą wesołość.

Czyż grający tę rolę może wymagać większej nagrody?

Edward Lubowski.

Kronika naukowego, artystycznego i społecznego ruchu kobiet.

Myśl szkoły gospodarstwa dla kobiet, z którą czytelniczki nasze spotykały się wielokrotnie, tak w artykułach prof. Rogojskiego, jak i w innych, przez redakcyą pisanych, została obecnie podniesioną przez p. Jadwigę Ochorowiczową w „Opiekunie Domowym“. Projekt takiej szkoły „Zakładu gospodarczo-naukowego dla kobiet“ podany przez p. Ochorowiczową jest mniej więcej podobnym do znanego czytelniczkom planu, który Bluszcz zamieścił w 1867 roku, biorąc sobie za wzór instytucyą podobną, w Wormacyi istniejącą. Traktując jeden przedmiot, tak się koniecznie schodzić z sobą trzeba, szczególniej, gdy jednakowe braku pojęcie o jednakowe środki zaradzenia mu woła. — Widziemy jak gospodarstwo męzkie podniosło się i podnosi ciągle przez wyższą naukę agronomii i postęp łączących się z nią umiejętności przyrodniczych; otóż i gospodarstwo kobiece podobną pomoc zapewnić sobie powinno—powinno oprzeć się na naukowej, racyonalnej podstawie, a wtedy jedynie ta wielka gałęź pracy kobiecej zajmie w ekonomii kraju, w ekonomii rodziny odpowiednie stanowisko. Sądzićby przecież należało, że głównie gospodarstwo wiejskie takiego naukowego poparcia potrzebuje i zakład też liczyćby zapewne musiał głównie na uczennice ze wsi przybywające; stąd urządzenie przy szkole pensyonatu, a nie wzniesienie jedynie szkoły otwartej, jak chce p. Ochorowiczowa, byłoby rzeczą konieczną. Inaczej osoby z odległych okolic kraju dla korzystania ze szkoły przybywające, a jak przypuścić trzeba głównie młode panny, musiałyby szukać pomieszczenia przy rodzicach w mieście zamieszkałych, co łączyćby się musiało z wielu trudnościami, z wielu niedogodnościami bardzo ważnego znaczenia, nie każdy bowiem wsi mieszkaniec ma w mieście takie stosunki, aby łatwo znalazł dom, do któregoby chętnie i spokojnie oddał młodą swą córkę. O takich zaś stancyach jedynie, o takiem mieszkaniu samotnem, jakie obecnie zajmuje uniwersytecka młodzież męzka, w naszem społeczeństwie, przy naszych obyczajach i tradycyach, myśleć nie można i sądzę, że myśleć nie potrzeba, bo postęp kobiety nie w tem leży, aby ją dla wyższej nauki odrywać od nawyknień i wpływów rodzinnych, ale aby tę naukę dać jej w warunkach najodpowiedniejszych jej kobiecej istocie, to jest wśród rodziny, lub otoczenia charakterem swym najbardziej do rodzinnych stosunków zbliżonego. W każdym razie i przy wszelkich wyobrażeniach, szkoła nie powinna być nigdy gruntem spornym dla ścierających się z sobą pojęć, ale nad wszystkie podobne walki podniesionem polem nauki — spokojnem cichem, wolnem od wstrząśnień wszelkich polem pracy kształcącego się umysłu i dla tego w czasie obecnym każda nowowznosząca się szkoła bardzo przy kreśleniu planu swego baczyć na to powinna, aby w zakres jej nic niestosownego wcisnąć się nie mogło. Kto daje kobiecie wyższą wiedzę, światło, wykształcenie wyższe i otwiera jej przez to wrota do szerszej, pożyteczniejszej pracy życia, już tem samem przyznaje jej najwyższe prawa ludzkie i w każdym razie dość będzie, gdy uczennica to zrozumie. Niech zatem uczy się tylko: niech się uczy najwięcej, najlepiej jak może, aby potem dopiero — dopiero przy pełnym zasobie

światła, przy pełnym rozwoju umysłu orzekać mogła o przyszłym kierunku życiowym. Tak istotę młodą do życia przygotować, oto główne, oto jedyne zadanie szkoły każdej.

Aby „Zakład gospodarczo-naukowy“ mógł być miejscem udogodnionej nauki i dla mieszkanek miasta; aby córki zostawały w domach rodzicielskich, a nauka nie stawała się za kosztowną i dla mniej zamożnych—trzeba otworzyć go zarówno i dla uczennic przychodnich, choć natura szkoły tego rodzaju, gdzie część doświadczalna gra bardzo ważną rolę, nie pozwala na pomieszczenie jej w środku miasta. Już to u nas przy każdem niemal przedsięwzięciu potykać się trzeba o brak bardzo ważny w rozwoju życia społecznego, o brak ułatwionej komunikacyi. Gdyby kolej żelazna łączyła Warszawę z jej zarogatkowemi przyległościami, jak to ma miejsce w innych wielkich miastach, za granicą, projektowana szkoła miałaby do zwalczenia jedną trudność mniej, czego życzyć sobie należy w bardzo ważnym interesie pracy kobiecej. Kobiece gospodarstwo wiejskie traktowane naukowo przez osoby wyższego wykształcenia, mogłoby stworzyć specyalność, otwierającą dla kobiet niezamożnych klas wyższych zawód taki, jakim jest dla mężczyzny zarząd gospodarstwa męzkiego. Dobrze wychowana i w przedmiocie swoim odpowiednio wykształcona osoba mogłaby stać się pożyteczną pomocnicą dla pani wiejskiego domu i przebywać wśród rodziny na takim stopniu poważania i szacunku, jaki zajmuje na przykład nauczycielka. Wyliczyć wszystkie korzyści, jakie wyniknęłyby stąd tak dla wielu gałęzi gospodarstwa krajowego, jak i dla kobiety pracy potrzebującej, byłoby to powtarzać naszym czytelniczkom całą połowę niedawno przez nie czytanego artykułu: *Panna bawiąca* (r. 1873).

Dowodem smutnej w tym kierunku obojętności kobiet, było zamknięcie wykładów gospodarczych w zakładzie Dr Baranieckiego w Krakowie. Upadły, a raczej zawieszono je *dla braku słuchaczek...* Było ich podobno dwie czy trzy.

W innych przecież kierunkach Zakład Dr Baranieckiego rozwijać się zaczyna coraz szczęśliwiej. Rysunki i prace rytownicze uczennic wystawione przy zamknięciu roku szkolnego w Muzeum Przemysłowo Technicznem zyskały ogólne uznanie i zasłużony poklask znawców. Znać w nich i dobrą szkołę, staranny, umiejętny kierunek, i troskliwą pilność, a nawet wyższe zdolności uczennic. Studya z natury uderzały szlachetnem i rozumnie pojętem natury tej traktowaniem, a rysunek taką czystością i poprawnością, jakich każdej szkole życzyć należy. O dziale rytowniczym z równemi pochwałami mówić trzeba i drzeworyty przedstawione pokazują, że kobiety pragnące wykształcić się w tym kierunku, mają już gdzie wykształcenia tego zaczerpnąć. Czytelniczki nasze spotkają się wkrótce z bardziej szczegółowem sprawozdaniem z rocznych postępów Zakładu.

Zecerstwo kobiece zrobiło też ważny krok naprzód. Wydawca Wieku, p. Jan Noskowski, otworzył z końcem lipca w drukarni swojej przy ulicy Mazowieckiej Nr 4, bezpłatną naukę dla kobiet.— Zgłosiło się już uczennic dziesięć i wszystkie z zapałem wzięły się do dzieła. Jest jeszcze miejsc wolnych pięć. W miarę uzdolnienia się uczennic drukarnia przyzna im odpowiednie wynagrodzenie, a chcemy wierzyć, że będzie ono nie niższem od pobieranego zwykle przez mężczyzn. Trzeba to przypuścić w obec zacnego zajęcia, jakie p. Noskowski dla pracy kobiecej okazuje przez wszelkie możliwe pomoce i ułatwienia, jakie wspomniane uczennice drukarstwa w zakładzie jego znalazły.

Przemysł domowy jest najwięcej pożądaną pracą dla kobiet, a nawet dla zamężnej jest to jedyna praca dająca się harmonijnie pogodzić z obowiązkami matki i żony. Otóż gałęzią takiego przemysłu, więcej niż inne przypadającą dla kobiety, jest koszykarstwo ozdobne, którego wyroby tak drogo płacone sprowadzamy z zagranicy. Przecież wiklina nadwiślańska rosnąca i nad brzegami innych rzek naszych, nadaje się najwyborniej do koszykarstwa ozdobnego i z podobnego materyału, z dodatkiem nieco trzciny i słomy amerykańskiej, zwanej „upartą“, są wyrabiane te piękne kosze, które Niemcy, Bawarya szczególniej, przedstawiła na Wiedeńskiej Wystawie. Obecnie szkoła ozdobnego koszykarstwa otworzoną została w Galicyi, we wsi Ściejowice, pod Krakowem, a poparta przez ministra przemysłu, który dał szkole zasiłek z funduszów państwa, obiecuje rozwinąć się szczęśliwie. Kobiety zostały tu na równi z mężczyznami przypuszczone do nauki. Szkoła otwarta w kwietniu bieżącego roku, liczy 19 uczni i dwie uczennice; są to młode chłopcy i dziewczęta wiejskie od 13 do 15 lat wieku liczące. Połowa uczni pobiera już tygodniową płacę i kosze do kwiatów wyrobu jednej z dziewczynek, są już posyłane na sprzedaż do Krakowa.

NA WSCHODZIE,

USTĘP Z WYCIECZKI NAD AMUR

Napisał **S. Maksimow**.

Handel herbatą.

(Dalszy ciąg).

Zasady przepisane przez rząd chiński dla poddanych jego zajmujących się kupiectwem, były następujące: 1) wszystkie listy otrzymane przez kogobądź z Chińczyków powinny być otwierane jedynie na zebraniach ogólnych, a to dlatego, ażeby każdy z kupców działał na niekorzyść cudzoziemców w ogóle i w szczególności; naczelnik zebrania postanowi jaką ilość towarów rossyjskich wolno kupić i za jaką cenę, a jednocześnie położy zakaz na wszystkie inne przedmioty; 2) towarów chińskich zawsze powinno być mniej aniżeli rossyjskich i dopóki uprzednio przywiezione nie zostaną sprzedane, nie wolno przystępować do wymiany świeżo dostarczonych; 3) wywóz przedmiotów zbytku, jakoto: wina, spirytusu i innych najsurowiej jest wzbronionym.

„Starajcie się zapewniać (mówi rozporządzenie rządu chińskiego w paragrafie 84), że Chiny nie produkują więcej niż krajowi potrzeba jedwabnych i bawełnianych towarów“. W paragrafie zaś 6-m tegoż rozporządzenia czytamy: „Jeżeli jakiego drogiego towaru Rossyanie nie przywieźli małą ilość, to należy zakupić wszystko rozdzielając nabytą partyę, na równi między wszystkich naszych kupców. Jednocześnie należy zapewnić rossyjskich kupców, że tego towaru zachodzi wielka potrzeba w Chinach. Następstwem takiego postępowania będzie ta okoliczność, że na rok następny Rossyanie przywiozą do Kiachty wielką ilość tego towaru, a my oświadczymy im wtedy, że poszukiwanie towaru u nas się zmniejszyło i będziemy mieli tym sposobem nad Rossyanami przewagę i osiągniemy niezwykłe korzyści. Jeżeli Rossyanie podniosą cenę jakiego towaru, którego mają małe zapasy, to w przeciągu całego jednego miesiąca nikt nie powinien takowego od nich kupować. Gdyby zaś w skutek tego odnieśli się do nas żądając wyjaśnień, odpowiemy, że handel tym towarem z konieczności winien być na jakiś czas przerwanym.“

Ta gra po ciemku dokonywana, to ciągłe dążenie do oszukiwania się, wzajemne usiłowanie ukrycia ilości przywiezionych towarów i chęć okazania na każdym kroku, że każda ze stron bynajmniej nie potrzebuje towarów sąsiada—wszystko to spowodowało smutne wyniki dla słabej korporacyi handlowej rossyjskiej.—Rynek w Kiachcie i panowanie nad nim dostały się wyłącznie w ręce Chińczyków. Kupcy niebieskiego państwa wzorowo zorganizowani w wielkie i silne stowarzyszenia, pracowali wspólnie, jednym ożywieni duchem, a Rossyanie byli zmuszeni prowadzić interesa swoje oddzielnie, skutkiem czego wzajemnie sobie szkodzili. Chińczycy umieli dokładnie wyzyskać to położenie i ciągle utrzymywali wysokie ceny na swoje towary, których podówczas mało zaludniona, ciemna, dzika, na pierwszym stopniu rozwoju znajdująca się Syberya wielce potrzebowała. Handel w Kiachcie wisiał na włosku; tem więcej, że dalszy zamienny handel futrami i innemi przedmiotami zbytku bez złota i srebra nie mógł się obejść; w przeciągu całego wieku XVIII, bardzo niepomyślnego dla Syberyi, zaledwie się wlókł. Oczekiwała handel rossyjski w Kiachcie smutna alternatywa: mógł on albo zupełnie upaść, albo istnieć oparty wyłącznie i jedynie na łasce i dobrym humorze Chińczyków. Lecz czas i okoliczności miały sprowadzić inne następstwa. W końcu wieku XVIII wyższe klassy społeczeństwa rossyjskiego nietylko zewnętrznie przyjęły formy cudzoziemskie, lecz myśląc inaczej niż wprzódy, wkrótce wyrobiły w sobie nowe gusta, z pomocą których zaczęły uważać wiele rzeczy poprzednio zakazanych i grzesznych za przyjemne i mogące sprawić niezwykłe zadowolenie. Przeklęty liść tytoniu nie był już bynajmniej rzadkością; owszem palił się jako przysmak ku rozweseleniu służący w fajkach, proszkiem swoim zapełniał tak złote tabakierki jak i urobione z kory brzozowej. W tym samym także czasie „chińska strzała, która przeszyła w Rossyi czułe serca“ do reszty zgubiła wszystko; już i herbata przestała być zielem przeklętem i wywar z niej uważany był za przyjemny, zdrowy i silny napój. Im więcej zaś Rossyanie zaczęli smakować w herbacie i usiłowali nią zastąpić zgubną i wiele smutnych następstw powodującą wódkę, tem coraz bardziej zwiększało się poszukiwanie i użycie tego produktu. W końcu zeszłego stulecia pojęcia te tak się już ustaliły, że na początku bieżącego użycie herbaty coraz bardziej się zwiększało i poszukiwanie jej stało się nagle tak zdumiewającem, że na podobny objaw zdobyć się tylko mogą społeczeństwa młode i jeszcze ostatecznie nie zorganizowane. Nagły przewrót nastąpił w handlu z Kiachtą. Od tych to czasów rozpoczyna handel ten swoją regularną i ściśle określoną historyę z tą główną cechą, że zjednoczył się teraz w rękach moskiewskich kapitalistów.

Żądania na dostawy herbaty tak wzrosły, że Sybiracy nie mogli ograniczać się samemi futrami dla handlu zamiennego i z powodu ich braku zmuszeni byli uciec się do zagranicznych bławatnych wyrobów i temi płacić przypadającą Chińczykom należność. Moskwa z łatwością mogła to uczynić, gdyż od roku 1812 handel jej szybko wzrastał, a powstał nagle silny system protekcyjny. Skutkiem tego Moskwa urządziła własne swoje fabryki, przepełniła się wyrobami, przestała zakupywać z Chin jedwabne i bawełniane towary, a natomiast w miejsce zagranicznych przysyłała własne sukna i tak zwany *Manczester*. Powoli towary te zyskiwały coraz większe uznanie Chińczyków, w końcu w zupełności usunęły i wyparły z rynku handlowego w Kiachcie wszystkie wyroby fabryk angielskich i francuzkich. Herbata była się prawie jedynym przedmiotem handlu zamiennego w przeciągu blizko lat 20.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Sprostowanie.

W Nr. 32 „Bluszczu“ w ostatnim wierszu dramatu „Sofonisba,“ zamiast „Cytry“ powinno być „Cyrty.“

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: **Pogawędka.** — **Niewiasta polska**, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego. — **Sofonisba**, tragedya, (dalszy ciąg), przekład Józefa Grajnerta.— **Historya o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Przegląd teatralny**, przez Edwarda Lubowskiego. — **Kronika naukowego, artystycznego i przemysłowego ruchu kobiet.** — **Na wschodzie**, (dalszy ciąg), przez S. Maksimowa.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою 5 (17) Августа 1874 г.